

# Babunia



ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

## Babunia

Pierwsza połowa października była owego roku tak ciepła, że w naszym ogrodzie wszystkie niemal drzewa: jabłunki, wiśnie, kasztany, bzy — od strony południowej, wystawionej na mocniejsze działanie słońca, zajaśniały drobnymi liśćmi żywej, świeżej, jaskrawo zielonej barwy i pokryły się nowym młodocianym białoróżowym kwieciem. Raz jeszcze zakwitły sasanki, konwalie, prymulki i niezabudki, a w ptaszarni słychać było, niby na wiosnę, gęganie gęsi, gdakanie kur i kwakanie kaczek, złudzonych żarem październikowych promieni, co w nich budził niby nowo-wiosenne tęsknoty miłosne.

Oglądaliśmy te cuda, podnieceni szczególnym fenomenem, i nie tyle dziwiły nas nasze własne kostiumy letnie o tak późnej porze, ile ta nowa wiosna, to odrodzenie świata roślinnego, ten rozkwit młodocianych kwiatów w październiku. Byliśmy tak wzruszeni tym widokiem, że zamilkliśmy zupełnie i tylko moja żona, osoba zawsze przytomna, czuwała nad inną kategorią zjawisk; — oczy jej były utkwione raczej w stronę werandy naszego domu, niż w stronę cudów natury, i w pewnej chwili powiedziała:

— Proszę państwa na czarną kawę!

Jakoż, posłuszni temu głosowi, mechanicznie ruszyliśmy ku werandzie, gdzie już Roch na stolikach porozstawiał przybory do poobiedniej czarnej kawy.

Sąsiad nasz, p. Feliks, który lubił aluzje polityczne, powiedział wówczas:

— To wszystko robota księcia Światopełka-Mirskiego. Powywracał kalendarz do góry nogami, z jesieni zrobił wiosnę i z tego, broń Boże, wyjdzie jakaś bolesna konstytucja!

Zasiedliśmy dokoła paru stolików na werandzie, a moja żona z p. Elżbietą zaczęły rozlewać kawę w filiżanki.

Jedna z pań, która już nieco *frisait la quarantaine*<sup>1</sup>, z melancholią patrząc na białą pianę, powstającą w kawie z topniejącego cukru, mówiła jakby do siebie:

— Gdyby to w życiu człowieka choćby na chwilę powtórzyć się mogła taka druga kwiecista wiosna!

Ale pani Emilia, mniej więcej tych samych lat osoba, zaprotestowała:

— O, ale nie z jednej strony tylko, jak na tych jabłonkach! Taka trocha mi nie wystarczy! Chciałabym się odmłodzić w całości — i to naraz<sup>2</sup>, z dziś na jutro — w pełni! Wczoraj lat sześćdziesiąt — jutro dwadzieścia, nie! ośmnaście.

— Co też tym kobietom do głowy przychodzi — rzekł mąż pani Emilii. — To naruszałyby przecież logikę i ekonomię natury!

— A cóż mnie obchodzi logika natury...

— Powiedz, logika w ogóle... — odparł ze śmiechem mąż Emilii, przyzwyczajony do fantastyczności swej połowicy.

— A bo i prawda!

— Stoję po stronie p. Emilii — zauważył doktor M., który z sąsiedniego miasta czasami przyjeżdżał do nas na winta<sup>3</sup>. — Nie idzie mi tu oczywiście o walkę z logiką...

— Chwała Bogu — zawołał jeden z panów. — Kochany doktorze, jesteś znakomitym lekarzem, ale też lubisz rzeczy ekscentryczne i w średnich wiekach na pewno byłbyś sławnym czarownikiem.

<sup>1</sup>*frisait la quarantaine* (fr.) — zbliżała się do czterdziestki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*wint* — gra karciana. [przypis edytorski]

— Bardzo bym pragnął. Marzeniem moim byłoby to samo, nad czym pracowali alchemicy: — eliksir młodości! Zapewne usłyszę znów ten sam zarzut, że się to nie zgadza z ekonomią natury. Ale na to odpowiem: czyliż my znamy całkowicie logikę i ekonomię natury, jej zamiary, jej istotę, jej możliwości? Zapewne codzienne doświadczenie uczy nas, że człowiek mniej więcej w 60–80 roku życia umiera jako starzec, ale nie zdaje mi się to *conditio sine qua non*<sup>4</sup>. Rozmaite mogłyby być sposoby rodzenia się, umierania i odradzania. Może są planety, na których istota ludzka trwa w długoletniej młodości i zagasa w pełni uśmiechów i rozkoszy. Może są światy, na których człowiek, doszedłszy do pewnego wieku, na nowo się odmładza, jak to widzimy u roślin. I na ziemi człowiek niekoniecznie musiał umierać tak wcześnie, jak to dziś widzimy — i niekoniecznie w stanie takiego kalectwa i choroby, jak to dziś widzimy. Dawne podania mówią nam o ludziach, co żyli po kilkaset lat, otoczeni kołem praprawnuków i prapraprawnuków.

Na wyspach Polinezji istnieje piękna legenda o pochodzeniu śmierci. Dawniej ludzie wcale nie umierali, ale, doszedłszy do lat pięćdziesięciu, na nowo odzyskiwali młodość i znów się rozwijali do kresu i znów się odmładzali *ad infinitum*<sup>5</sup>. Owoż zdarzyło się, że pewna kobieta, odmłodzona w ten sposób, chciała czule powitać swego syna. Ale ten jej powiedział:

— Ty nie jesteś moją matką. Moja matka była to siwa, czcigodna staruszka, a ty jesteś młodą dziewczyną.

Wówczas owa niepoznana matka w żalości zawołała:

— O Boże, raczej niech będę starą jak przedtem, niż żeby mnie mój syn miał nie poznawać!

Natychmiast Bóg ją wysłuchał — i na nowo była starą kobietą jak przedtem, a syn w radości ucałował jej ręce i nogi. I od tego czasu ludzie przestali się odradzać i zaczęli umierać.

— O Boże, jaka to szkoda! — westchnęła mimo woli pani Emilia, patrząc na kwiecim obsypany ogród.

— Istotnie można by powiedzieć, że tym razem miłość macierzyńska źle się zastąpiła ludzkością. Zdaje się jednak, że nie wszystkie osobniki podległy tej klątwie. Bywa mianowicie u niektórych osób, że te w bardzo późnym wieku odzyskują całkowitą młodość. Niepodobna<sup>6</sup> wyjaśnić, w jakich warunkach odrodzenie to następuje, gdyż medycyna, która skrzętnie notuje takie wypadki, zna ich dotychczas bardzo niewiele i nic określonego powiedzieć o nich nie może. Po prostu konstatuje fakt i zaznacza jego objawy. Zdarzyło się, że właśnie byłem świadkiem jednego z tych niezmiernie rzadkich u ludzi faktów; szczegółowo też opisałem go w rocznikach Akademii paryskiej, dodałem nadto fotografie, które przy okazji państwu pokażę. Za moich młodych lat, jako student drugiego roku medycyny, bywałem u Stankiewiczów, w Podobłoczcu, w okolicach Płocka. Przyjaźniłem się tam z Janem Kowalskim, który mieszkał w sąsiedztwie; kochał się w pannie Zofii Stankiewiczównie, dzisiejszej swojej żonie; ja zaś kochałem jego siostrę, ale nie ożeniłem się z nią, gdyż wykazałem najosobliwszą *inconstance*<sup>7</sup> wobec p. Jadwigi. Niewątpliwie p. Jadwiga była na mnie słusznie obrażona, ale stanąłem wobec tak wyjątkowego *coup de foudre*<sup>8</sup>, że czuję się zgoła niewinny. Nie będę opisywał domu Stankiewiczów, gdyż w tej chwili istnieje dla mnie tylko jedna osoba, mianowicie pani starsza, babka właściciela Podobłoczca, którą wszyscy nazywali „babunią”, choć w istocie była prababką. Miała ona lat dziewięćdziesiąt jeden, to znaczy trzynaście razy po siedem. Podkreślam to, gdyż muszę tu przypomnieć, że organizm ludzki co siedem lat całkowicie się odnawia; wszystkie jego komórki odradzają się, jak nowe rośliny. Oczywiście im wiek późniejszy, tym bardziej charakter komórek jest inny. U kobiety najpiękniejsze lata są trzy razy siedem, cztery razy siedem, pięć razy siedem, tj. dwadzieścia jeden, dwadzieścia osiem, trzydzieści pięć lat. Potem następuje jakby rozwój wsteczny: mikroby niszczące organizm, mnożą się kosztem mikrobów użytecznych. Oczywiście wiek 13×7 jest tak daleki, że o jakimś odnowieniu realnym mowy tu być nie może; jednakże jest to pewien

Matka, Młodość, Starość

Śmierć, Zmartwychwstanie

<sup>4</sup>*conditio sine qua non* (lac.) — warunek konieczny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*ad infinitum* (lac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*inconstance* (fr.) — niestałość. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*coup de foudre* (fr.) — miłość od pierwszego wejrzenia. [przypis edytorski]

określony komplet organizmów tak bliski śmierci, że już przez to samo może się stać podatnym do zmartwychwstania.

Granica śmierci a życia jest i na wieki zapewne pozostanie dla nas tajemnicą. Tu jednak stoimy wobec faktu prawdziwego zmartwychwstania, które się ujawniło, zanim jeszcze śmierć dokonała swego dzieła.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. W końcu r. 1890 na wakacje Bożego Narodzenia przyjechałem z Jankiem do Podobłocza, gdzie naraz mi się zdarzyło studium lekarskie, wprost niesłychane, a potem znów niemniej niesłychana czekała na mnie przygoda. Właśnie kiedy przybyłem do Podobłocza, doktor Korynthius, mój poprzednik w Zatoczynie, od dwóch dni już tu siedział, czuwając nad chorą babunią. Ucieszył się bardzo staruszek na mój widok, gdyż pomoc, choć początkującego medyka, była mu bardzo użyteczną.

Moment był tragiczny; wszyscy oczekiwali katastrofy. Babunia była śmiertelnie chora; całymi godzinami leżała uśpiona i nieprzytomna, zupełnie zeszywniała, po czym budziła się w konwulsjach. Doktor Korynthius nie był w stanie określić choroby; z początku sądził, że to drętwica, ale znów epileptyczne drgania chorej przeczyły temu przypuszczeniu. Już trzeci dzień mijał od chwili, gdy babunię trzeba było położyć do łóżka; było jej wciąż niby to gorzej, niby to lepiej; w ogóle stan dziwnie nieokreślony i niepodobna było oznaczyć, w jakim organie skoncentrowaną jest energia choroby. Już to zdawało się serce, już płuca, już przepona brzuszna jest zaatakowana, gdy oto nazajutrz straszny ból działał albo głowy, albo znowu cierpienie nerwu ocznego zbijało nas z drogi.

Staruszek doktor chwilami pytał mnie niespokojnie:

— I cóż o tym myślicie, panie kolego? Babunia nigdy w życiu nie chorowała. Było to wcielenie zdrowia, siły, równowagi ducha, tego spokoju psychicznego, który panuje nad ciałem. I oto naraz...

Prawdę mówiąc, nic nie myślałem. Ponieważ zajmowałem się wówczas tajemnicą śmierci, śledziłem bacznie przejawy umierania, gdyż oczywiście nie oczekiwałem na nic innego, jak na ostateczny rozkład tego egzemplarza ludzkiego.

Babunia zresztą, choć tak chora, mało co zmieniła się na twarzy — i spod niebieskiej kołdry wyglądała na białych poduszkach jej sympatyczna głowa, która do ostatka zachowała wielką czystość i szlachetność rysów, choć policzki miała pomarszczone. Poeta wyraziłby się, że zachowała niezatarte ślady piękności. Tego nie powiem, ile że nad łóżkiem babuni na ścianie wisiał w stare okragłe ramy oprawny portret jej z czasów, kiedy miała lat dziewiętnaście; był to portret cudnej dziewczycy w kostiumie z epoki Księstwa Warszawskiego. Nieznanego nazwiska, ale dobry malarz odtworzył jej bystre, ciemnoniebieskie oko, żywe i przenikające; usta jak wiśnie, w czarodziejski uśmiech zakłete — i bujne, złote, w całym znaczeniu tego słowa złote, bladozłote włosy, spięte w loki.

Z obrazu tego patrzyło na cię zjawisko nadziemskie, marzenie przedziwne, które jedną chwilę trwało na ziemi i minęło na wieki. Jednakże widok ten i wyobrażenie tej istoty jako żywej, miało w sobie coś rozrzewniającego. Dziś babunia była prawie bezzębna, głowę jej pokrywały kępki siwych, krótkich włosów; oczy półzagasłe patrzyły na świat dobrotliwie, ale niby czekając z rezygnacją wyroku losów. Uśmiech tylko pozostał zawsze miły i słodki, choć nie ten sam, co na portrecie; tamto był uśmiech nadziei, to zaś pożegnania. Babunia była osobą wzrostu drobnego, trzymała się zawsze prosto, gdyż sił żywotnych miała wiele i dopiero od kilku lat zarzuciła konną jazdę, w której niegdyś była mistrzynią.

Nigdy, chyba w dzieciństwie, nie chorowała, toteż nie dziw, że jej choroba wywołała ogólne przerażenie, zwłaszcza że babcia była przez wszystkich kochana.

Pierwszym objawem choroby było zemdlenie, trwające blisko dwanaście godzin: nie byłem jeszcze w Podobłoczku i wiem o tym od dra Korynthiusa. Doktor przyjechał w jakie trzy godziny po omdleniu chorej — i, chociaż stosował wszystkie środki w takich przypadkach wskazywane, nic nie mógł dopomóc chorej. Dopiero po pewnym czasie chora przebudziła się sama; była zupełnie przytomna, tylko miała dość silną gorączkę. — „Kostucha mi się kłania — mówiła półzartem. — Czas bo na mnie wielki”.

Doktor ją pocieszał, jak mógł, choć sam nie wierzył w szczęśliwy koniec tej sprawy; na drugi dzień chora wpadła w rodzaj parogodzinnej epilepsji, która ją strasznie zmęczyła, tak że blisko dobę całą była pogrążona we śnie głębokim i dziwnie spokojnym, ale się przebudziła w nader obfitych potach.

W tym właśnie czasie przyjechałem z Jankiem do Podobłocza i doktor zaprosił mnie na konferencję, z czego, oczywiście, jako młody medyk, byłem nadzwyczaj dumny. Doktor nie umiał dotąd nazwać choroby; ja zaś wysilałem całą swoją bardzo zaczątkową wiedzę, aby sobie przypomnieć zjawisko podobne: jednakże nic takiego dotychczas jeszcze nie widziałem.

Czuwałem nad babunią przez całą noc. Spała kamiennym snem, ale chwilami dziwny niepokój był w tym śnie kamiennym. Właściwie nie można było tego nazwać niepokojem; owszem, był to raczej stan przyjemny. Od czasu do czasu przez sen śpiewała dźwięcznym, nie swoim głosem jakieś stare, zapomniane pieśni; to znów wybuchała wielkim śmiechem, ale śmiech ten nie był to śmiech babuleńki, liczącej lat z górą dziewięćdziesiąt, owszem był to śmiech kobiety w sile wieku, zdrowej, tęgiej i energicznej. Pot z jej czoła lał się strumieniami.

Koło szóstej rano przyjechał doktor, ja zaś na chwilę spać się położyłem. O jedenastej znowu poszedłem do niej. Babunia była przytomniejsza; nie leżała w łóżku, ale siedziała w nim i, skoro tylko wszedłem, powiedziała do mnie na pół ze smutkiem, na pół ze zdumieniem:

— Michasiu, powiedz mi, co się ze mną dzieje? Nic nie rozumiem — i Korynthius nic nie wie.

— Patrz!

I, odsłoniwszy rękawy białego kaftanika, pokazała mi ramię, żółtawe, powiędłe, pomarszczone ramię staruszki. Owóż miejscami na tym ramieniu występowały plamy białe, niby kość słoniowa, twardej konsystencji — tak, żeśmy się obawiali jakiegoś ogólnego skostnienia czy stwardnienia organizmu.

Trzeba zaznaczyć, że tego dnia chora czuła się wcale<sup>9</sup> nieźle; owszem, przybytek sił był dość znaczny i apetyt wcale dobry.

Nazajutrz te białe plamy ukazały się na czole, na plecach, na nogach i w ogóle na całym ciele; natomiast włosy wszystkie powypadały z głowy, a na ich miejscu wyrósł drobny, białawy meszek, przy tym — *mirabile dictu*<sup>10</sup> — w dziąsłach ukazało się kilka białych świeżych zębów, jak u małego dziecka. Zmiana też nastąpiła w strunach głosowych; babunia już nie mówiła teraz drżącym głosem staruszki; słyszałeś, owszem, dźwięk metaliczny, głęboki sopran, świeży i melodyjny.

Ponieważ w owych czasach wraz z Jankiem uprawialiśmy fotografię amatorską i przywieźliśmy tu swe aparaty, nie zaniedbałem też sprawy pod tym względem i co kilka godzin robiłem zdjęcia, które później przesałem Akademii paryskiej.

Owóż w kilka dni potem żółta, pomarszczona, starcza skóra zupełnie znikła — i całe ciało babuni przybrało barwę białą kości słoniowej, barwę, co przedtem tylko w plamach była po nim rozsypana. Słowem ciało się wygładziło dokoła, ale nie było sztywne i odrętwiałe, jak tego oczekiwaliśmy; przeciwnie, stało się naraz giętkie, elastyczne i silne, a w ścięgnach nader sprężyste. Twarz i czoło wyrównały się i nabrały alabastrowej białości. Dodam, że już tego dnia poprzez ową białość alabastrową zaczęła przeświecać żywa barwa czerwono-różowa, a pulsa bić poczęły z niepospolitą a harmonijną szybkością. Zęby niemal wszystkie odrosły, białe i kształtne, jak podłużne perły; usta zaś nabrały barwy wiśniowo-malinowej, a grzybkowaty ich układ zniknął zupełnie; były to usta młodej osoby. Biały meszek na głowie w kilka dni się rozwinął w bujne, jedwabne, złociste włosy, a w oczach zaczął naraz błyszczeć żywy blask i ogień, pełny radości i uśmiechu, przenikający i głęboki.

Słowem staliśmy wobec niepojętego zjawiska i powoli budziło się w nas jego rozumienie, choć nie byliśmy w możności określić jego istoty. Nie — choroba naszej babuni — to nie była śmierć, to było odrodzenie, to było zmartwychwstanie. Było to całkowite przekształcenie komórek organizmu, który przeszedł trzynaście cykliów po siedm lat, i w którym, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, mikroby życiodawcze unicestwiły całą złośliwą potęgę 37 miliardów mikrobów chorobotwórczych i śmiertcionośnych, unicestwiły, krótko mówiąc, tę całą bierną niemoc, która powoduje w naszym organizmie

<sup>9</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*mirabile dictu* (łac.) — aż dziw powiedzieć. [przypis edytorski]

nędzę i chorobę, zwaną: starość. Słowem, choroba naszej babuni była to nowa młodość, nowe życie...

Choroba babuni szła teraz *crescendo*<sup>11</sup>, jak cudowne zjawisko. Po kilku tygodniach, w sam dzień Bożego Narodzenia w naszych oczach po prostu babunia, licząca lat dziewięćdziesiąt i jeden, przemieniła się w młodą, czarującą, dziewiętnastoletnią pannę — tę samą, której portret z r. 1818 wisiał nad jej łóżkiem.

Niewątpliwie przez najbardziej tajemniczą, dotychczas niewytłumaczoną przemianę materii organicznej (czyż tylko organicznej? — zdaje mi się, że głównym czynnikiem była tu psychika, utajona energia duszy babuni, duszy pięknej, czystej, harmonijnej, panującej właśnie nad organizmem, owszem samodzielnie go kształtującej) — niewątpliwie przez ten cud babunia przestała istnieć.

To znaczy: przestała istnieć jako babunia, choć nią w rzeczywistości była dalej, a zamiast niej ukazała się nowa, czy też odnowiona istota, sama sobie matka czy też córka — przepiękna dziewica, panna Klementyna, która ciałem swoim miała teraz lat dziewiętnaście, ale której duch zachował wszystką mądrość i doświadczenie ubiegłych blisko stu lat życia, owszem podniecony był jeszcze tą nową wiosną i nowym odrodzeniem.

Trzeba zauważyć, że ani my, ani sama babunia tak od razu nie zrozumieliśmy dobrze tego nowego jej położenia na świecie.

Zwłaszcza babunia chwilowo zatraciła poczucie czasu — i mieszało się w niej naraż dwojakie zjawisko. Już to czuła się ona prababką całej gromady osób, zamieszkałych w Podobłoczku; już to znowu roiło się jej, że jest realnie tą dziewiętnastoletnią panną Klementyną ze starego portretu i że właśnie jest rok 1818.

— Michasiu — mówiła do mnie — dowiedz się, czy dzisiaj będzie na teatrze reduta<sup>12</sup>, bo właśnie pan Stanisław Okraszewski napisał śliczny wiersz, którym zaprasza mnie do angleza<sup>13</sup>. Ach, taki czuły i romansowy wiersz, że łyż się cisną do oczu. Pan Stanisław to pewnie dziś największy poeta, kawaler piękny i dzielny oficer... Dlaczego to Zuzia nie przychodzi? Posłałam ją do panny de Latour po suknię na dzisiejszy wieczór...

I naraz śmiać się zaczęła srebrzystym, szczerym śmiechem dziewczęcym.

— Cha, cha! Co za złudzenie! To przecież dawno miniona przeszłość. Wszystko mi się pomieszało! To zabawne! Jakież to rok mamy teraz?

— 189...

— Boże drogi, jak to czas płynie... Przecież ja mam lat osmdziesiąt...

Nawiasowo tu dodam, że babunia nigdy się nie chciała przyznać do swego wieku i poza liczbę 80 za nic w świecie nie wychodziła.

— Osmdziesiąt lat, a tymczasem czuję, że właśnie jestem młodą, jak Zosia lub Natalia. To przecie dziw! Nie mogę się polapać. Więc ja na nowo się urodziłam, na nowo życie rozpoczynam! Co za osobliwa choroba. Czy to się często zdarza?... Ach, co za rozkosz!

Tak szczebiotała, a ja z niepojętym zachwytem spoglądałem na nią. Nie widziałem nigdy takiego upojenia życiem, takiej eksplozji radości, jak w tej zmartwychwstałej i odrodzonej osobie, świeżej jak rozkwitła róża z lilią połączona.

— Babunia — rzekłem — jest odrodzona jak Feniks<sup>14</sup> — i mogę śmiało powiedzieć (tak mówiłem dalej, choć niezupełnie ściśle), że to zmartwychwstanie jest moim dziełem.

— Wdzięczną ci też będę do końca życia, ale proszę cię, nie nazywaj mnie babunią, bo to jakoś nie wypada tak tytułować młodą pannę...

— A więc — panno Klementyno.

— Tak, tak — rzekła z czarownym uśmiechem, pełnym szczególnej kokieterii, a przypatrując mi się przez chwilę bardzo uważnie, dodała:

— Ach, jak ty jesteś podobny do p. Stanisława Okraszewskiego, który się we mnie kochał w roku 1818.

— Gotów jestem naśladować pana Stanisława jak najgorliwiej — i tak samo jak on będę panią kochał — zawołałem pomimo woli, ale tak szczerze i tak głęboko, że naraż poczułem w sobie tę nową a niespodziewaną prawdę: kochałem tę zmartwychwstałą kobietę, kochałem samo to jej zmartwychwstanie.

<sup>11</sup>*crescendo* (wł., muz.) — coraz głośniejszy, tu: wzmacniając się. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*reduta* (daw.) — publiczny bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*anglez* — popularny w XVIII i XIX w. taniec pochodzący z Anglii. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Feniks* — mityczny ptak, odradzający się w płomieniach. [przypis edytorski]

— Ach, jak to będzie ładnie! — klasnęła w ręce babunia, a potem w komicznym zakłopotaniu rzecze: — Tak, ale co na to powie moja wnuczka Helunia, co powiedzą jej córki, Zosia i Natalka?

— Nikt na to nic powiedzieć nie może.

I przypomniawszy sobie coś z podróży po Australii, które czytałem jeszcze w gimnazjum, dodałem:

— Na wyspach polinezyjskich, gdy mężczyzna przy ślubie wierność przysięga kobiecie, wygłasza taką formułę: „Ja jestem śmiertelny, tyś jest nieśmiertelna”. A któż jest bardziej nieśmiertelny, niż pani, babuniu... to jest, panno Klementyno!

— Ślicznie to powiedziałaś. Zupełnie jakby pan Stanisław. Czy naprawdę jestem nieśmiertelna? Nigdy nie umrę? nigdy?

— Tak myślę — tak wierzę...

— O mój Boże, za cóż takich łask zaznałam? Sama nie wiem — mówiła dalej, opuszczając oczy — sama nie wiem, czy mi wolno powiedzieć to, co chcę powiedzieć...

— Pani ma wyjątkowe stanowisko, wyjątkowe przywileje na ziemi. Śmiało niech pani mówi.

— Powiem ci, mój Michasiu, że nigdy serce moje nie płonęło tak gorąco jak dzisiaj... Kocham ciebie, jak nigdy nie kochałam nikogo... Gdybym miała tak naprawdę lat dziewiętnaście, nie wypadaloby mi tego mówić, ale przecież ty wiesz, że ja mam koło... no, mniejsza o to. Tobie zawdzięczam wszystko, bo moja młodość, moje życie jest twoim dziełem...

W tym duchu prowadziliśmy rozmowy z babunią, a to niemal nadprzyrodzone zjawisko rzuciło na mnie taki urok, że o wszystkim na świecie zapomniałem. I gdy pewnego wieczoru przyjechał do Podobłocza Janek ze swoją siostrą, Jadwigą — czułem, że stało się coś tragicznego w moim życiu — i nie tyle w moim, ile w życiu Jadwigi.

Nie, już nie kochałem siostry Janka. Zapewne było to z mojej strony źle i brzydko, że ją zdradziłem i porzuciłem — ale czyż by mnie nie uwolnił każdy sąd, każdy trybunał?

Klementyna — zjawa nadziemska — opanowała mą duszę. Jej przemiana była cudem i ona sama była cudem: jakże miałem nie ulec tej wyższej potędze? Czytałem w oczach Jadwigi niemy wyrzut, ale milczenie moje dało jej do poznania, że między nami wszystko skończone. Swoją drogą żal mi było serdecznie Jadwigi, cios jednakże był tak niespodziewany, że nikt by rady nie znalazł.

Natomiast miłość moja do Klementyny rosła z dnia na dzień; i ona sama też rozwijała się, kwitła, dojrzewała, promieniała do apoteozy. Przebóstwiona, nieśmiertelna istota ludzka.

Sz szczególnie zachwycająco wyglądała w noc sylwestrową. W Podobłoczcu był wielki wieczór taneczny. Ponieważ wieść o cudownej metamorfozie babuni rozeszła się szeroko i daleko, więc też gości zjechało się do nas bardzo wiele.

Istotnie Klementyna była królową balu. Nikt, jak ona, nie tańczył z takim wdziękiem walca, oberka, mazura. Nikt nie promieniał tak niepospolitą urodą, ani kostiumem ani dowcipem.

Jej błyszczące oko, różowe usta, jej złote włosy, jej postać wysmukła i wytworna — wszystko to w ową srebrną noc zimową wydawało się niby zjawisko ze snu nocy letniej. I ona — ona mnie kochała — i byłem szczęśliwy, bez miary szczęśliwy. Otwarcie mi powiedziała, że wtedy, w roku 1818 była bardzo głupia (*«Ah, si jeunesse savait<sup>15)</sup>»*) i że dopiero potem zrozumiała różne rzeczy (*«si vieillesse pouvait<sup>16)</sup>»*), i właśnie ona ten wyjątkowy stan osiągnęła.

Powiem wam tedy, żeśmy się potajemnie zaręczyli, o czym nikt nie wiedział; tylko Jadwiga, kierowana instynktem, odgadła nasz sekret. Byłem szczęśliwy i nie opuszczałem Podobłocza, choć należało wracać do Warszawy. Czekałem jednak okazji, aby wraz z Klementyną wyjechać do miasta i aby móc ją poślubić.

Było nam śpieszno. Chciałem szukać posady, opuścić szkołę lekarską. Oboje nie chcieliśmy czasu marnować.

A jednak się spóźniliśmy.

<sup>15)</sup>*Ah, si jeunesse savait* (fr.) — ach, gdyby młodość wiedziała. [przypis edytorski]

<sup>16)</sup>*si vieillesse pouvait* (fr.) — gdyby starość mogła. [przypis edytorski]



Blisko miesiąc byliśmy w niebie, w niebie cudów i marzeń. Ale nieszczęście czyha: dnia dwudziestego stycznia Klementyna po powrocie ze ślizgawki, pełna humoru i wesołości, zasiadła do podwieczorku. Ten cudowny powrót do życia i młodości oczywiście sprawił to, że babunia żyła w nadzwyczajnym podnieceniu. Jako lekarz powinien być przewidzieć, że nadmierna ekspansja energii życiowej — może tu do fatalnych doprowadzić wyników. Niestety, byłem zaślepiony i nieprzytomny.

Owego wieczoru właśnie Klementyna, wśród najweselszej rozmowy, naraz pochyliła głowę i niespodzianie zamilkła.

O zgrozo, zamilkła na wieki. Gdy się zbliżyłem, aby zbadać jej puls, poznałem straszliwą prawdę. Klementyna umarła od udaru sercowego, umarła z nadmiaru życia i radości.

Nie będę opowiadał o swojej rozpacz. Odrodzenie babuni był to cudowny, ale nie-trwały wyskok natury, promień słońca, wychodzący z mogiły. Może oboje, nie ceniąc i nie czcząc, jak przystoi, tego objawu siły boskiej, nadużyliśmy go niewłaściwie i zostaliśmy za to ukarani. Kwiaty jesienne rychło przemijają...

Śmierć

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-babunia>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).